

WSPOMNIENIA CZTERECH LAT PRZEŻYTYCH W „OSIEMNASTCE”

1 września 1957 r. zostałam uczennicą klasy 8a gorzowskiej "osiemnastki" przy ul. Kosynierów Gdyńskich. Po uroczystym rozpoczęciu roku szkolnego 1957/1958 poszliśmy do swoich klas na spotkanie z wychowawcami i tu dowiedzieliśmy się, że nasza wychowawczyni dojedzie do nas z Krakowa jutro. Następnego dnia z ciekawością oczekiwaliśmy wychowawcy. Do klasy wszedł Pan Dyrektor Stanisław Filipczyk z "dziewczynką" – szczupłą blondynką średniego wzrostu. Byliśmy przekonani, że to nasza koleżanka. Jakież było zdziwienie po prezentacji: „To jest Pani Zofia Czerniejewska, mgr romanistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, będzie waszym wychowawcą”. Pani Profesor zauważyła chyba nasze zdziwienie i następnego dnia przyszła ze zmienioną fryzurą, a to za przyczyną uwagi Dyrektora: „Dziecko, zrób coś, żeby wyglądać dorosłej”.

Była tylko 7 lat starsza od nas, do Gorzowa trafiła z nakazu pracy. Dla rozpoznania swojej „zgrai”, postanowiła nawiązać ścisłą współpracę z naszymi rodzicami – dzięki przekazanej informacji znała nasze zalety i wady, ustaliła też szyfr pomocny w przekazywaniu informacji w obie strony. O tej współpracy dowiedzieliśmy się 30 lat po maturze, w 1991 r., kiedy zorganizowaliśmy spotkanie naszej klasy z Panią Profesor.

Potwierdzeniem moich słów niech będzie wspomnienie Wiesi Sabiłło z domu Bułaj.

"POPRAWKA"

Koniec roku szkolnego. Rozdanie świadectw w poszczególnych klasach. Przy moim nazwisku wychowawczyni, Pani Zofia Czerniejewska, tłumaczy, że muszę zdać poprawkę z języka francuskiego pod koniec wakacji. Jeżeli zdam – otrzymam świadectwo. Otrzymałam wskazówki, który materiał mam przerobić. Byłam zdruzgotana. Nie słyszałam wprawdzie o poprawkach, ale... to ja właśnie mam poprawkę. Wróciłam do domu i opowiedziałam wszystko mamie. Stwierdziła, że pojedę do Pani Haliny – mamy koleżanki, która uczyła francuskiego. Całe wakacje kulam zadany mi materiał. Po powrocie mama miała już wiadomość o terminie zdawania mojej poprawki. Pani Profesor na tablicy napisała, co mam zrobić, i... wyszła. Ostupiałam: żadnej komisji, żadnego pilnowania, tylko ja w pustej klasie i problemy, które mam rozwiązać. Zadanie wykonałam, chyba dobrze. Świadectwo otrzymałam. Po powrocie do domu przyrzekłam sobie, że już nigdy nie chcę mieć takich wakacji, a więc trzeba uczyć się na bieżąco.

Po 30 latach, w 1991 roku, Pani Czerniejewska zapytała mnie, czy pamiętam moją poprawkę z francuskiego. Tak, oczywiście. To teraz dowiedz się: „To ja i twoja mama wymyśliłyśmy to wszystko, żebyś nauczyła się systematycznie pracować”. Po powrocie do domu zapytałam mamę, dlaczego mi tego nie powiedziała. Usłyszałam odpowiedź: „Jak przyrzekłam, że nie powiem, to nie mówiłam. Teraz jestem już upoważniona przez panią Profesor, że mogę to potwierdzić”. Gdybym nie dowiedziała się o tym, to z pewnością moja mama zabrałaby tajemnicę do grobu.

Nasza Pani Profesor była bardzo zdolna i wszechstronna. Uczyła języka francuskiego, logiki, filozofii, historii starożytnej, łaciny i rysunku. Wszystkie propozycje Pana Dyrektora przyjęła z pokorą, sprzeciwiła się tylko rysunkowi, bo to było poza kręgiem Jej kompetencji. Niestety, musiała się poddać i przez 2 lata uczyła rysunku, ale nie prowadziła zajęć praktycznych, przygotowywała wykłady z historii sztuki. Po kilku hospitacjach Dyrektor zwrócił uwagę, że nie uczy rysunku. Pani Profesor odpowiedziała, że nie umie. W tym czasie Kuratorium

Oświaty w Zielonej Górze ogłosiło konkurs plastyczny, na który wysłano 5 prac uzdolnionych plastycznie uczniów Pani Profesor. Wszystkie prace zostały nagrodzone, a szkoła i nauczyciel otrzymali nagrody. Dyrektor gratulował, a Pani Profesor przeproszała nauczycieli na radzie pedagogicznej i tłumaczyła się, że to nie Jej zasługa.

Nasza wychowawczyni na pierwszej lekcji wychowawczej zaproponowała, by w klasie, tak jak w rodzinie, tworzyć grupę wzajemnego zaufania, tolerancji i zrozumienia. Wszystkie ważne sprawy dotyczące poszczególnych osób załatwiamy we własnym gronie i nie przenosimy ich poza klasę. Każda lekcja wychowawcza służyła analizie zdarzeń minionego tygodnia, wyciąganiu wniosków „naprawczych”, planowaniu działań służących rozwijaniu zainteresowań, uspołecznianiu, kształtowaniu wrażliwości na drugiego człowieka, gospodarności, a także poznawaniu zasad dobrego wychowania. Te wszystkie działania przygotowywały nas do dorosłego życia i procentują do dziś.

Z naszej klasy 5 koleżanek postanowiło studiować romanistykę na UAM: Erika Kupferger, Janka Guga, Ola Wójcicka, Hanka Wakalska i Grażyna Niklas. Pani Profesor bezinteresownie organizowała z nami spotkania edukacyjne, doskonaliła język, kupowała mozaiki języka francuskiego, prowadziła konwersacje tylko w języku francuskim. Doskonale przygotowała je do egzaminów wstępnych. Wszystkie zostały przyjęte, ukończyły studia i kształciły następne pokolenia. Na wydziale romanistyki Uniwersytetu A. Mickiewicza chodziła fama: „Jak uczennica Profesor Zofii Czerniejewskiej, to na pewno jest dobra”.

Wiosną 1958 roku zauważyłam w holu szkolnym plakat, na którym była informacja dotycząca zbiórki harcerskiej: „W niedzielę o godz. 10.00 wszystkie chętne dziewczęta przychodzą na zbiórkę z rowerami, suchym prowiantem i menażką”. Na zbiórkę przyszło 13 dziewcząt z naszej klasy, w tym z rowerami 7. Na zbiórkę miałyśmy jechać do lasu kłodawskiego. Postanowiono, że pierwsze 7 jedzie rowerami, po 15 minutach jazdy rowery zostawiają na poboczu i maszerują dalej, pozostałe dochodzą, wsiadają na rowery i tak aż do celu wyznaczonego (to były czasy, nikt nie ukradł roweru!). Po przebytej podróży usiadłyśmy nad jeziorem i podjęłyśmy decyzję, że będziemy działać w ZHP. Było nas 13, więc przyjmujemy nazwę historycznej „CZARNEJ 13”, będziemy nosić czarne chusty. Tak zaczęła się przygoda z harcerstwem, nasza wychowawczyni stała się też opiekunem drużyny.

Nasza "ZOSIENKA" zaraziła nas bakcyłem wędrowania i poznawania świata. Dzięki temu przeszłam wieloma szlakami polskich pasm górskich, zdobywając niejedną szczyt.

W dziewiątej klasie pojechałyśmy na obóz wędrowny w Tatry. Noclegi u gaździny, u podnóża Gubałówki. Stodoła, pachnące siano i klepisko. Tam przygotowywałyśmy sobie śniadanie, a obiadowe jadałyśmy w drodze powrotnej w napotkanych barach. Każdego dnia wczesnym rankiem wyruszaliśmy na wcześniej zaplanowany szlak z piosenką na ustach.

W tym samym czasie na obozie wędrownym była grupa uczniów naszej szkoły z Panem Profesorem Janem Goszczyńskim. Oni obozowali pod namiotami na Hali Gąsienicowej. Byliśmy z nimi umówieni, że schodząc z Kasprowego Wierchu, zatrzymamy się u nich na obiedzie. Zaserwowano grochówkę (specjalność Profesora), a w zamian za to my dostarczyłyśmy im zapas chleba. Spotkanie było udane, ale nie wszyscy dobrze strawili grochówkę i w drodze powrotnej były małe problemy. Najbardziej ucierpieli koledzy, bo przysiadając o zmierzchu, spotkali się z pokrzywą. Piekielnie piekło, więc korzystali z dobrodziejstwa zimnego strumyka.

Z wielkim rozrzewnieniem wspominam dwie wycieczki klasowe. W dziewiątej klasie tygodniowa wycieczka do Trójmiasta. Pociągiem dojechaliśmy do Torunia, a potem płynęliśmy statkiem całą noc do Gdańska. Bazę noclegową mieliśmy zaplanowaną na polu namiotowym w Oliwie obok ZOO. Gdańsk przywitał nas obfitym deszczem. Byliśmy przemoczeni. Pani Profesor postanowiła przeczekać deszcz. Zgromadziliśmy się pod jakimś zadaszaniem przy ZOO. Ja z Danką Andrzejewską podeszliśmy do budki dozorca ZOO i zaczęliśmy z nim rozmawiać o jakiejś bazie noclegowej. Pytamy, czy nie ma nic takiego na terenie ZOO. On na to, że jest nowa, po remoncie, klatka dla małą, na które czekają, jest tam zmagazynowane siano, ale na nocleg uczniów musi wyrazić zgodę dyrektor. Poczekaliśmy, przyszedł dyrektor ZOO i pozwolił nam na jeden nocleg. Udało się, wiadomość przekazałyśmy Pani Profesor, no i poszliśmy się zakwaterować. Było czyściutko, białe ściany, pachnące siano, nic więcej nie trzeba, przecież to nasza kategoria hotelowa. W sąsiedztwie była klatka z niedźwiedziem brunatnym, do małych nie należał. Trochę nas to przerażało, ale traktował nas przyjaźnie.

Następnego dnia dalej pada, idziemy do dozorca i pytamy, co z nami, czy mamy się wyprowadzać. Pan dozorca mówi: „Rozmawiał ze mną dyrektor na temat waszego zachowania, po przekazanych mu wiadomościach zdecydował, że możecie tu koczować przez cały tydzień.” Hura!!! Wiadomość doskonała.

I tak w małym hotelu przeżyliśmy piękny tydzień w Trójmieście. Tak wiele mogliśmy zobaczyć, poznać zabytki i historię miasta, piękną architekturę, a także spotykać się każdego dnia z różnorodnymi mieszkańcami OLIEWSKIEGO ZOO.

Jeszcze ciekawsza była nasza druga wycieczka, do Krakowa. Pojechaliśmy razem z klasą prof. Gajewskiego. Byliśmy w lepszej sytuacji, ponieważ nasza Pani Profesor doskonale знаła Kraków z racji swoich studiów i była doskonałym cicerone. Pieniądze na wycieczki zdobywaliśmy własnym sumptem, w czym pomagała nam nasza Profesor. Dziewczęta, jak pamiętam, wystawiły w świetlicy PSS bajkę dla dzieci, chyba o Czerwonym Kapturku, my pomagaliśmy robić scenografię. Kto obsadził rolę Baby Jagi, nie pamiętam. Pieniądze na jedną z wycieczek zdobyliśmy, porządkując cmentarz wojenny przy ulicy Walczaka i oznaczając szlak turystyczny, nie pamiętam który.

W roku szkolnym 1958/1959, OSIEMNASTKA została przeniesiona na ulicę Puszkina do nowego budynku. Z lewej strony budynku był dość spory kawałek ziemi (aktualnie jest tam parking), którą postanowiliśmy zagospodarować. Przygotowaliśmy odpowiednio ziemię i posialiśmy rzodkiewkę, pielęgnowaliśmy naszą plantację przed lekcjami i po nich, plon był obfity. Odpowiedniej wielkości rzodkiewki wiązaliśmy w pęczki i tata Eli Sakłak wywoził ją na rynek i sprzedawał, zbieraliśmy sporo kasy. Zachęceni sukcesem w następnym roku poszliśmy w pomidory, ale zbyt małe doświadczenie ogrodnicze i przewlekła susza uniemożliwiły uzyskanie oczekiwanych efektów. W 1959 roku szkoła podpisała umowę z Urzędem Miasta o odpłatnym porządkowaniu cmentarza wojkowego przy ulicy Walczaka. Ten obowiązek przyjęła na siebie nasza klasa. Tym sposobem zapracowaliśmy na wycieczkę do Krakowa. Nasza klasa sadziła również drzewa wzdłuż posesji liceum. Największy dochód mieliśmy z przedstawienia „Królewna Śnieżka“, które przygotowaliśmy dla gorzowskich przedszkolaków.

Te wszystkie przedsięwzięcia realizowane przez cztery lata mojego pobytu w „OSIEMNASTCE” świadczą o wielkości WYCHOWAWCY. O Jej talencie wychowawczym i prawym charakterze. To prawdziwy przyjaciel, na którego można liczyć

w każdej sytuacji. Zawsze miała czas dla nas, każdego ucznia traktowała poważnie, służyła bezinteresowną pomocą w nauce i rozwiązywaniu problemów osobistych.

Pani Profesor, dziękuję serdecznie za wszystkie wspólnie przeżyte chwile w klasie, na obozach wędrownych i harcerskich, na wycieczkach i w każdym innym działaniu. Dziękuję za wszystkie spotkania, kartki, listy i rozmowy nie tylko telefoniczne trwające do dziś. Jest Pani „rzeźbiarzem” mego charakteru.

P.S. Wiele osób z młodszym peselem zna Panią Profesor z nazwiska po mężu – Zofia Magnuszewska. Pan Władysław Magnuszewski też był Profesorem naszego Ogólniaka, świetnym polonistą, ale niestety nie mieliśmy szczęścia być Jego uczniami.

Matura 1961 r. Danuta Leśniewska z domu Iwanowska